

Doskonały thriller!

JP Delaney

Rewelacja!

Lee Child

Znakomita książka.

Lisa Jewell

STEPHANIE WROBEL

TROSKLIWA

**MATKA NIGDY
O TOBIE NIE ZAPOMNI.
CÓRKA NIGDY CI
NIE WYBACZY.**



Dzień zwolnienia

Moja córka nie musiała zeznawać przeciwko mnie. Zrobiła to, bo chciała.

To przez Rose Gold trafiłam do więzienia, ale nie ona jedna jest winna. Gdybyśmy mieli wytykać palcami, ja wskazałabym prokuratora z jego nazbyt bujną wyobraźnią, łatwowierną ławę przysięgłych i żądnych krwi reporterów. Oni wszyscy domagali się sprawiedliwości.

Byli żądni sensacji. Historii.

(Przygotujcie popcorn, bo dostali to, czego chcieli).

Dawno, dawno temu, mówili, nikczemna matka urodziła córeczkę. Wszystko wskazywało na to, że dziewczynka jest bardzo chora i spotykały ją rozmaite nieszczęścia. Karmiono ją przez sondę, włosy wypadły jej garściami i była tak słaba, że poruszała się na wózku. Przez osiemnaście lat żaden lekarz nie potrafił stwierdzić, co jej właściwie dolega.

Wtedy na ratunek córce przyszło dwóch policjantów. I oto okazało się, że dziewczynka jest zupełnie zdrowa, a chociaż była jej zła matka. Prokurator powiedział wszystkim,

że matka latami podtruwała córkę, że to z winy matki dziewczynka nie przestawała wymiotować i była niedożywiona. Nazwał to znęcaniem się nad dzieckiem. I uznał, że matkę należy ukarać.

Po tym, jak została aresztowana, pismacy zlecieli się niczym sępy, gotowe wzbogacić się na historii rozbitej rodziny. W nagłówkach domagali się krwi „Trującej Patty”, pięćdziesięciokilkuletniej mistrzyni manipulacji. Wszystkie przyjaciółki matki uwierzyły w ich kłamstwa. Nagle wszyscy zaczęli się wymądrzać, a każdy prawnik, gliniarz i sąsiad był przekonany, że to właśnie on uratował dziewczynkę. Wsadzili matkę do więzienia i wyrzucili klucz. Sprawiedliwości stało się zadość i większość z nich żyła długo i szczęśliwie. Koniec.

Lecz gdzie byli prawnicy, gdy matka po raz tysięczny ścierała z dywanu wymiociny córki? Gdzie byli gliniarze, gdy co wieczór ślęczała nad podręcznikami medycyny? Gdzie byli sąsiedzi, gdy codziennie przed wschodem słońca dziewczynka wołała matkę?

Może ktoś mi wyjaśni, dlaczego córka, nad którą rzekomo pastwiłam się przez niemal dwie dekady, postanowiła mnie dziś odebrać?

Równo o dwunastej w południe Connolly podchodzi do drzwi mojej celi.

– Gotowa, Watts?

Zwlekam się z pryczy wielkości tostów i prostuję się w gryzącym kombinezonie koloru khaki.

– Tak, proszę pana.

Stałam się kobietą, która szczebiocze.

Brzuchaty strażnik wyjmuje ciężki pęk kluczy i pogwizdując, otwiera drzwi do celi. Jestem ulubioną więźniarką Connolly’ego.

Zatrzymuję się przy pryczy, bo nie chcę robić scen. Ale Alicia siedzi pod ścianą, kolana podciągnęła pod brodę i obejmuje je

rękami. Podnosi na mnie wzrok i wybucha płaczem. Wygląda o wiele młodziej niż na swoje dwadzieścia lat.

– Ćśśś, ćśśś. – Pochyliam się i przytulam ją. Ukradkiem zerkam na jej zabandażowane nadgarstki, ale Alicia chwyta moje spojrzenie. – Nakładaj maść i zmieniaj opatrunki. Pilnuj, żeby nie wdała się infekcja – mówię i poruszam brwiami.

Alicia się uśmiecha, łzy płyną jej po twarzy. Ma czkawkę.

– Tak, siostró Watts.

Staram się nie pyszczyć. Przez dwanaście lat byłam dyplomowaną pomocą pielęgniarstwa.

– Grzeczna dziewczynka. Dłóż wyjdzie dziś z tobą na spacer. Pół godziny. Zalecenie lekarza. – Uśmiecham się i głaszczę ją po głowie.

Czkawka ustała.

– Napiszesz do mnie?

Kiwam głową.

– A ty do mnie dzwoń. – Ściskam ją za rękę, prostuję się i odwracam do Connolly'ego, który cierpliwie obserwuje całą scenę. Zatrzymuję się w progu, oglądam się na Alicję i notuję w pamięci, żeby napisać do niej, kiedy już będę w domu. – I pamiętaj, nie wszystko naraz.

Alicia macha nieśmiało.

– Powodzenia.

Connolly i ja kierujemy się do wyjścia. Inne więźniarki wykrzykują do mnie słowa pożegnania.

– Daj znać co i jak, dobra?

– Będzie nam ciebie brakowało, mamuśko.

– Unikaj kłopotów, Koma.

(To skrót od „Komarzyca”, ksywki, która miała być obraźliwa, a którą potraktowałam jako komplement. Komarzyce nigdy się nie poddają).

Macham do nich niczym królowa Elżbieta we własnej osobie, siłą woli powstrzymując się od przesyłania buziaków. Lepiej potraktować sprawę poważnie. Connolly i ja idziemy dalej.

Na korytarzu Stevens omal mnie nie przewraca. Przypomina buldoga – jest niska, tęga, ma obwisłe policzki i bywa, że nawet ślini się jak buldog.

– Krzyżyk na drogę – fuka.

Zanim się pojawiłam, to ona tu dowodziła. Nigdy nie była zwolenniczką teorii, że lepiej pochwalić, niż skarcić, i sama jest wiecznie skwaszona. Oto do czego prowadzą przemoc i zastraszanie, ale kobieta taka jak ja nie da sobie w kaszę dmuchać. Obalenie jej rządów było proste. Wcale jej się nie dziwię, że mnie nienawidzi.

Kokieteryjnie macham do niej palcami.

– Cudownego dożywocia, Stevens.

– Nie truj już więcej małych dziewczynek – warczy.

Uduszenie jej nie wchodzi w grę, dlatego postanawiam zażyć ją uprzejmością. Uśmieciam się i niczym oaza spokoju idę za Connollym.

Punkt przyjęć i zwolnień jest niesamowity: to długi korytarz z betonową podłogą, zbyt białymi ścianami i pomieszczeniami z oknami z grubego szkła. Na końcu korytarza znajduje się mała przestrzeń z biurkami, komputerami i skanerami. Mogłoby to być biuro rachunkowe, gdyby księgowi nosili identyfikatory i broń.

Krzesło dyżurnego zwrócone jest w stronę radia nadającego wiadomości. *Po krótkiej przerwie* – informuje dziennikarz – *opowiemy prawdziwą historię zaginionego chłopca z Indiany i odpowiemy na pytanie, czy słodczyce mogą powodować raka. Już niebawem w WXAM.* Od procesu nie oglądałam, nie słuchałam ani nie czytałam żadnych wiadomości. Prasa zniszczyła moje dobre imię. To przez nich córka nie rozmawiała ze mną przez cztery lata.

Wściekłym wzrokiem patrzę na radio. Krzesło obraca się w moją stronę i uświadamiam sobie, że znam siedzącego na nim człowieka. Prywatnie nazywam tego łysego, krzepkiego mężczyznę Panem Czyścioszkiem. Poznałam go pięć lat temu.

Flirtował ze mną przez cały dzień, pytając, jakich używam perfum, podczas gdy ja próbowałam się od niego opędzić. Siłił się na wesołość, lecz w głębi duszy czułam wściekłość na niesprawiedliwy wyrok i strach przed tym, co przyniesie kolejne pięć lat. Od tamtej pory go nie widziałam. Aż do dziś.

– Patty Watts? – pyta, wyłączając radio.

Kiwam głową.

– Pamiętam cię. – Posyła mi uśmiech.

Pan Czyścioszek wyciąga z szuflady biurka formularz i znika w magazynie. Kilka minut później wraca z małym kartonowym pudełkiem. Wręcza mi kartkę papieru.

– Przejrzyj spis rzeczy i podpisz na dole, że zabierasz wszystko, z czym tu trafiłaś.

Otwieram pudełko, przebiegam wzrokiem po jego zawartości i składam podpis.

– Możesz się przebrać w swoje rzeczy – oświadcza Pan Czyścioszek. Ruchem ręki wskazuje łazienkę i kiedy Connolly się odwraca, puszcza do mnie oko.

Kiwam głową, przytulam do piersi kartonowe pudełko i powłócząc nogami, wlokę się we wskazanym kierunku.

W kabinie zdejmuję bluzę z wymalowanym na plecach napisem „DEPARTAMENT WIĘZIENICTWA” i sięgam do pudełka. Po pięciu latach karmienia się więziennym jedzeniem moje ulubione džinsy z gumką są odrobinę za luźne. Zakładam koszulkę z Garfieldem i czerwoną bluzę z inicjałami dwuletniego college’u przygotowującego do studiów – GCC. Moje stare skarpetki są sztywne od potu, ale i tak lepsze od tych z szorstkiej wełny, które mam na nogach. Wkładam adidasy i na dnie pudełka dostrzegam coś jeszcze. Biorę w dłoń wisiorek w kształcie serca i zastanawiam się, czy nie schować go do kieszeni, ale zamiast tego zawieszam go na szyi. Będzie lepiej, jeśli zobaczy, że noszę prezent, który dostałam od niej w dzieciństwie.

Wychodzę z łazienki i wręczam Panu Czyścioszkowi puste pudełko.

– Uważaj na siebie – rzuca i kolejny raz puszcza do mnie oko.
Razem z Connollym idziemy oświetlonym lampami fluorescencyjnymi korytarzem w stronę parkingu.

– Ktoś po ciebie przyjedzie, Watts?

– Tak, proszę pana. Niedługo powinna tu być. – Uważam, by nie mówić, kto mnie odbierze.

Chociaż Rose Gold ma już dwadzieścia trzy lata, ludzie nadal wyobrażają ją sobie jako małą chorowitą dziewczynkę. Niektórzy nie byliby zadowoleni, widząc, że się pogodziłyśmy. Nie obchodzi ich, że za każdym razem, gdy trafiała do szpitala, nie spałam całymi nocami i monitorowałam jej funkcje życiowe. Nie mają pojęcia o głębi matczynej miłości.

Zatrzymujemy się przed drzwiami. Palce mnie mrowią, kiedy sięgam do klamki antypanicznej.

Connolly drapie się po wąsie w stylu Toma Sellecka.

– Ten przepis na pierogi zrobił prawdziwą furorę u moich teściów.

Klaszczę w dłonie.

– Mówiłam, że tak będzie.

Connolly się waha.

– Martha była pod wrażeniem. Ubiegłej nocy nie spała na kanapie.

– Krok po kroku, proszę pana. Będzie dobrze. Tylko niech pan dalej czyta tę książkę. – Przez ostatnie pięć miesięcy udzielałam mu rad na podstawie *Pięciu języków miłości**.

Connolly się uśmiecha i przez chwilę wygląda na zagubionego.

– No już, proszę się nie mazać – żartuję i poklepuję go po ramieniu.

Kiwa głową.

– Powodzenia na wolności, Patty. Nie wracaj tu, dobrze?

* Chodzi o książkę Gary'ego Chapmana *The Five Love Languages. How to Express Heartfelt Commitment to Your Mate*. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Taki mam plan – mówię.

Patrzę, jak odchodzi, jego buty, wielkie jak u klauna, młaskają na linoleum. Chwilę później znika za drzwiami i jedyne, co mnie otacza, to upiorna cisza. Tak po prostu, Departament Więziennictwa w stanie Illinois ze mną skończył.

Staram się ignorować oszalałe dudnienie w piersi. Pchnięciem otwieram drzwi i wychodzę w oślepiające słońce. W głębi duszy boję się, że zaraz zawyje alarm albo zacznie migać czerwone światło. Lecz to naprawdę takie proste: wejść do budynku i z niego wyjść. Mogę iść do kina, do kościoła albo do cyrku. Mogłaby złapać mnie burza, a ja nie miałabym parasolki, albo ktoś mógłby mnie napaść i grozić mi bronią. Jestem wolna i wszystko może mi się przydarzyć. Rozprostowuję palce i zachwycam się rześkim listopadowym wiatrem. Oslaniam oczy i szukam wzrokiem starego vana marki Chevrolet, ale parking to istne morze sedanów. I dokoła nie ma żywej duszy.

Powinna tu być lada chwila.

Siadam na ławce i krzywię się, gdy plastik jęczy pod moim ciężarem. Wiercę się przez kilka minut, po czym wstaję. I znów zaczynam się przechadzać tam i z powrotem.

W oddali mój rdzawoczerwony van skręca w długą jednokierunkową uliczkę prowadzącą do więziennego kompleksu. W miarę jak się zbliża, poprawiam niesforne loki i przyglądam bluzę. Odchrząkuję, jakbym zamierzała coś powiedzieć, ale tylko patrzę. Kiedy samochód wjeżdża na parking, rozpoznaję wąskie ramiona swojej córeczki i jej jasnobrązowe włosy.

Patrzę, jak Rose Gold parkuje tyłem. Chwilę później gasi silnik i opiera się o zagłówek. Wyobrażam sobie, że na minutę zamyka oczy. Końcówki jej długich do połowy pleców włosów unoszą się i opadają z każdym oddechem, jakby niczego nie podejrzewała. Rose Gold marzyła o długich włosach, odkąd była małą dziewczynką, i teraz je ma.

Czytałam gdzieś, że przeciętny człowiek ma na głowie sto tysięcy włosów – blondyni mają ich nieco więcej, a rudzi nieco

mniej. Zastanawiam się, ile włosów mieści się w garści. Wyobrażam sobie, że obejmuję córkę i przeczesuję palcami jej długie miękkie loki. Zawsze mówiłam jej, że wygląda lepiej z ogoloną głową. Jesteś wtedy znacznie mniej bezbronna – nie ma cię za co złapać.

Córki nigdy nie słuchają matek.

Kiedy podnosi głowę, nasze spojrzenia się spotykają. Rose Gold unosi rękę i macha, jak królowa balu maturalnego. Ja robię to samo. Na tylnym siedzeniu dostrzegam zarys fotelika dla dziecka. To tam siedzi przypięty mój wnuk.

Schodzę z krawężnika i idę w kierunku swojej rodziny. Mięło prawie dwadzieścia pięć lat, odkąd urodziłam dziecko. Jeszcze kilka sekund i maleńkie paluszki wnuczka zacisną się na mojej dłoni.

Pięć lat wcześniej, listopad 2012

Czasami wciąż nie potrafię uwierzyć, że mogłam czytać, co tylko chciałam. Muskałam palcami błyszczące zdjęcia w magazynach. Idealna para trzymająca się za ręce na plaży. Nastoletni chłopak z kudłatymi włosami nachylający się w stronę czekającego samochodu. Rozpromieniona matka tuląca w ramionach córeczkę na jednej z ulic Nowego Jorku. Wszyscy ci ludzie byli sławni. Wiedziałam, że matka to piosenkarka imieniem Beyoncé, ale innych nie rozpoznawałam. Byłam pewna, że większość osiemnastolatków wiedziała, kim są.

– Rose Gold?

Wzdrygnęłam się. Mój manager Scott stał przede mną.

– Zaraz otwieramy – powiedział. – Możesz odłożyć ten magazyn?

Pokiwałam głową. Scott zdążył już odejść. Powinnam była go przeprosić? Był na mnie zły czy tylko wykonywał swoją pracę? Mogłam dostać za to upomnienie? Miałam szanować władze. I powinnam wiedzieć, jak je przechytrzyć. Mama zawsze umiała.

Zerknęłam na numer „Chit Chata”, który trzymałam w rękach. Przeglądałam brukowiec w poszukiwaniu informacji o niej. W trakcie procesu napisali o nas trzy artykuły. Teraz, podczas jej pierwszego dnia w więzieniu, nie mieli nic do powiedzenia. Podobnie jak ogólnokrajowe gazety. O wyroku dla mojej mamy rozpisywano się wyłącznie w naszej lokalnej gazecie „Deadwick Daily”.

Odłożyłam magazyn z powrotem na stojak. Scott przecha-dzał się po sklepie, klaszcząc i wołając: „Uśmiech to część wa-szego uniformu”. Zerknęłam na Arniego na kasie numer dwa. Przewrócił oczami. Denerwowałam go? A jeśli już nigdy się do mnie nie odezwie? Co, jeśli powiedział wszystkim w pracy, że jestem dziwadłem? Odwróciłam wzrok.

Ochroniarz otworzył drzwi do Gadget World. Na zewnątrz nikt nie czekał. Niedzielne poranki były spokojne. Włączyłam światło przy kasie, ale duża żółta piątka się nie zaświeciła. Mama zawsze powtarzała, że spalona żarówka zwiastuje, że wydarzy się coś złego.

Coś jeszcze bardziej ścisnęło mi żołądek. Przez ostatni rok bałam się każdego dnia rozprawy: mów wstępnych, swoich zeznań, wyroku, kary. Ale dziennikarzy nie obchodziło, że „Trująca Patty” trafiła za kratki. Ja jedna pamiętałam, że to jej pierwszy dzień w więzieniu. Byłaby wolna, gdybym nie stanęła na miejscu dla świadka. Nie rozmawiałam z nią od aresztowania.

Próbowałam wyobrazić sobie swoją matkę – wzrost metr sześćdziesiąt siedem, a do tego krępa – w pomarańczowym kombinezonie. A jeśli strażnicy zrobią jej krzywdę? Jeśli zachoruje od więziennego jedzenia? Wiedziałam, że powinno mnie to cieszyć. Wiedziałam, że powinnam jej nienawidzić, bo ludzie zawsze pytali mnie, czy tak jest.

Nie chciałam wiedzieć, jak wygląda teraz, posiniaczona i co-ras bardziej blada z powodu braku słońca. Chciałam zapamię-tać matkę, z którą dorastałam, kobietę o szerokich ramionach

i mocnych rękach, którymi w ciągu kilku minut potrafiła zagnieść ciasto na chleb. Włosy miała krótkie i niemal czarne, dzięki taniej farbie. Miała pulchne policzki, zadarty nos i szeroki uśmiech, który rozświetlał jej twarz. Kochałam ten uśmiech, bo lubiłam patrzeć na jej zęby: białe, proste i równie uporządkowane jak jej segregatory. Ale to dzięki jasnym zielononiebieskim oczom zyskiwała sympatię ludzi. To były oczy człowieka, który słucha i współczuje. Oczy człowieka dobrego i godnego zaufania. Kiedy nakrywała twoją rękę swoją pulchną dlonią i spoglądała na ciebie tymi akwamarynowymi oczami, wiedziałeś, że nigdy więcej nie poczujesz się samotny.

– Rose Gold, tak?

Znowu się wzdrygnęłam. Stał przede mną sobowtór księcia z disnejowskich bajek. Rozpoznałam go. Często przychodził kupować gry wideo.

Wskazał na mój identyfikator.

– Dobra, skłamałam. Jestem Brandon – powiedział.

Patrzyłam na Brandona ze strachem, że cokolwiek powiem, pójdzie sobie. On jednak nie przestawał się na mnie gapić – może miałam coś na twarzy? Sięgnęłam po jego zakupy: grę wideo z uzbrojonym żołnierzem na okładce i cztery paczki orzechowych m&m'sów.

– Chodzę do liceum Deadwick – ciągnął Brandon.

Był ode mnie młodszy. Miałam osiemnaście lat i otrzymałam świadectwo ukończenia szkoły średniej.

– Super – rzuciłam, chociaż pewnie powinnam powiedzieć coś innego.

Czemu ktoś tak fajny jak Brandon w ogóle ze mną rozmawiał?

– Też tam chodziłaś?

Podrapałam się po nosie, chcąc zakryć ręką usta i zęby.

– Uczylałam się w domu.

– Ekstra. – Brandon wbił wzrok w podłogę i się uśmiechnął. – Zastanawiałem się, czy nie umówiłabyś się ze mną.

– Gdzie? – spytałam zdumiona.

– Na randkę. – Roześmiał się.

Rozejrzałam się po pustym sklepie. Brandon stał przy kasie z rękami w kieszeniach i czekał na moją odpowiedź. Pomyślałam o Philu, swoim internetowym chłopaku.

– Nie wiem – bąknęłam.

– Daj spokój – rzucił. – Obiecuję, że nie gryzę.

Mówiąc to, pochylił się w moją stronę. Jego twarz była niepełna pół metra od mojej. Miał nos upstrzony maleńkimi piegami. Pachniał mydłem. Serce waliło mi jak oszalałe. W końcu mogłam przeżyć swój pierwszy pocałunek. Czy to byłaby zdrada, skoro nigdy nie poznałam osobiście swojego internetowego chłopaka?

Brandon mrugnął i zamknął oczy. Jak to możliwe, że dla niego było to takie proste? Chyba też powinnam zamknąć oczy. A jeśli nie trafię i zamiast w usta pocałuję go w nos? A zatem oczy musiały pozostać otwarte. Powinnam pocałować go z języczkiem? W magazynach pisano, żeby czasami całować się z języczkiem. Ale nie używać zębów. Nigdy.

Moje zęby.

Nie mogłam pozwolić, żeby zobaczył moje zęby. Poza tym Scott mógł nas przyłapać. Nasze twarze były teraz ledwie kilka centymetrów od siebie. Nachylałam się w jego stronę, nawet o tym nie wiedząc. Wszystko zepsuję. Nie byłam gotowa. Cofnęłam głowę.

– To nie jest właściwy czas – wymamrotałam.

Brandon otworzył oczy i przechylił głowę.

– Co powiedziałaś? – zapytał.

– Powiedziałam, że to nie jest właściwy czas. – Wstrzymałam oddech.

Machnął ręką.

– Nawet nie powiedziałem kiedy. Jesteś wiecznie zajęta?

Nigdy nie byłam zajęta, ale nie mogłam mu tego powiedzieć. Wylałam palce i z trudem przelknęłam ślinę. W ustach miałam sucho.

Brandon uniósł brwi.

– Mam cię błagać?

Wyobraziłam sobie, jak przez kolejne czterdzieści osiem godzin rozpamiętuję każde słowo tej rozmowy. Musiałam to zakończyć, zanim wszystko schrzanię. Zatknęłam za ucho kosmyk krótkich strąkowatych włosów.

– Przepraszam – bąknęłam ze wzrokiem wlepionym w jego koszulkę.

Brandon cofnął się od kasy. Policzki miał różowe. Patrzyłam, jak jego uśmiech zmienia się w paskudny grymas. Musiałam powiedzieć coś nie tak. Wzdrygnęłam się i czekałam.

– Jesteś zajęta udawaniem, że potrzebujesz wózka?

Rozdziawiłam usta i pospiesznie zakryłam je dłonią.

– Myślisz, że możesz ukryć te zęby? Są kurewsko obrzydliwe – wycedził.

Nie rozplacz się, nie rozplacz się, nie rozplacz się, nie rozplacz się.

– Zagadałem do ciebie, bo kumpel założył się ze mną, że tego nie zrobię.

W tej chwili, jak na zawołanie zza kasy numer dwa wychylił się chłopak. Łzy napłynęły mi do oczu.

– Że niby taka paskuda jak ty mogłaby mnie splawić? – zakpił Brandon i ruszył do wyjścia, wymachując plastikową reklamówką z logo Gadget World.

Jego przyjaciel przybił z nim piątkę. Po moim policzku potoczyła się samotna łza.

Ledwie wyszli, odeszłam od kasy, ignorując spojrzenie Arniego. Myślałam o Czarownicy i Dżafarze, o Cruelli de Mon, Skazie i kapitanie Haku – czarnych charakterach, które w końcu zawsze przegrywały.

Pokój socjalny był pusty. Zamknęłam drzwi i przekręciłam klucz.

Nie płakałam tak, odkąd dwa miesiące temu usłyszałam wyrok w sprawie mamy.

Po pracy ostrożnie pojechałam zdezelowanym vanem piętnaście kilometrów do swojego mieszkania. Dwa miesiące temu zrobiłam prawo jazdy z pomocą bylej najlepszej przyjaciółki mamy Mary Stone, która zapisała mnie na kurs i zawiozła do wydziału komunikacji na egzamin pisemny i praktyczny. Urzędnik powiedział, że jestem w tym miesiącu pierwszą osobą, która uzyskała taki dobry wynik. Czasami wsiadałam do vana i jeździłam w kółko po okolicy tylko dlatego, że mogłam.

Zaparkowałam przed blokiem. Kiedy dostałam pracę kasjerki w Gadget World, pani Stone pomogła mi znaleźć tanie mieszkanie w Deadwick. Sheridan Apartments był trzypiętrowym budynkiem w kiepskim stanie. Pani Stone mówiła, że zbudowano go, kiedy była dzieckiem. Czasami w mieszkaniu pojawiały się myszy, ale miesięczny czynsz wynosił niecałe czterysta dolarów. Pani Stone powiedziała, że na początek tyle mi wystarczy. Nie byłam pewna, o jakim początku mówi.

Zamknęłam samochód i ruszyłam w stronę wejścia. Kiedy szłam wylaną betonem ścieżką, telefon zawibrował mi w kieszeni. Pilnowałam, by nadeptując na każde pęknięcie, myśleć o Brandonie.

Phil: *Pogadamy wieczorem?*

Ja: *Tak, chętnie, miałam kiepski dzień.*

Phil: *Co się stało?*

W mieszkaniu zrzuciłam buty i podeszłam prosto do wagi łazienkowej. Odkąd dziewięć miesięcy temu wyprowadziłam się z mieszkania mamy, przytyłam trzysta i pół kilograma. Ostatnio moja waga się ustabilizowała. Spojrzałam w dół. Nadal czterdzieści sześć kilogramów.

Wychodząc z łazienki, starałam się nie patrzeć w lustro. Nie miałam sił, by znów przez to przechodzić. (Krok pierwszy: sprawdzić, czy paski wybielające działają. Oceniałam każdy ząb w skali od jednego do dziesięciu i zapisywałam wyniki w notesiku, żeby śledzić postępy. Krok drugi: użyć centymetra krawieckiego, żeby zobaczyć, o ile urosły mi włosy.

Próbowałam tabletek z tranem, biotyny i witamin, ale nic nie działało – moje włosy nadal nie chciały rosnąć szybciej. Krok trzeci: obejrzeć się dokładnie od stóp do głów, każdą część ciała i spisać te, które mi się nie podobają. Prowadziłam spis w głowie i wiedziałam, nad czym należy popracować). Starałam się nie powtarzać tych czynności częściej niż raz dziennie, a w kiepskie dni, takie jak dziś, w ogóle ich unikałam. Zgasiałam światło w łazience. Byłam głodna.

W kuchni włożyłam do mikrofalówki teksańsko-meksykańskie danie z makaronem i serem i oparłam się o blat. Przeczytałam opis dania na opakowaniu i zastanawiałam się, jak smakuje kielbasa chorizo. Odkąd zamieszkałam sama, jadłam głównie płatki śniadaniowe i gotowe dania mrożone. Próbowalam nauczyć się gotować, ale nie potrafiłam określić, kiedy coś jest już dobre – przypalałam warzywa albo nie dogotowywałam ryżu. Brakowało mi kogoś, kto przygotowywałby mi posiłki, nawet jeśli były to koktajle odżywcze PediaSure. Czasami zapalałam małe świece wotywnie, jak robiła to mama, żeby posiłek wydawał się bardziej wykwintny.

Mikrofalówka piknęła i wyjęłam zapiekanekę makaronowo-serową. Nadal stojąc przy blacie, zerwałam folię z pojemnika i ostrożnie włożyłam do ust pierwszy kęs, delikatnie dotykając języka chłodnymi ząbkami widelca. Świderki posypane serem Monterey Jack z papryczkami chili gładko przechodziły mi przez gardło. Okruchy chleba chrzęściły mi między zębami trzonowymi. I nagle poczułam palenie w ustach – kielbasa chorizo miała moc! Łzy napłynęły mi do oczu. Dostałam gęsiej skórki na ramionach. Te nowe smaki nigdy mi się nie znudzą.

Otworzyłam lodówkę i wyciągnęłam zestaw przekąsek Lunchables – w tym były krakersy, kawałki indyka i sera cheddar – i mleko czekoladowe. Korciło mnie, żeby napić się prosto z kartonu, ale przypomniałam sobie jej pełen dezaprobaty wzrok. Zamiast tego wlałam mleko do szklanki.

Ja: *Jakiś dzieciak z liceum przyszedł do sklepu i zachowywał się jak palant.*

Wciąż zachwycalam się łatwością, z jaką używałam słowa „palant”. Wcześniej nie mogłam przeklinać.

Ja: *Już mi przeszło.*

Ja: *Jak Ci minął dzień?*

Zawsze miałam nadzieję, że jestem wobec siebie zbyt surowa. To niemożliwe, żeby wszyscy myśleli, że jestem tak brzydka, jak się tego obawiałam. Ale tak właśnie myślał Brandon. Moje wychudłe ciało bardziej pasowało do sześciolatniego chłopca niż do kobiety. Nie miałam piersi. Zęby miałam krzywe i popsute. Nawet po tym, jak przytyłam trzynaście i pół kilograma, wciąż byłam za chuda. Nikt nie uważał mnie za piękność, nawet moja mama, która zawsze nazywała mnie „piękną duszą”, ale nigdy nie powiedziała, że jestem piękna. Wybrała najgorzszy moment na szczerość.

Phil: *Przykro mi z powodu palanta w sklepie.*

Phil: *Mój dzień był śnieżny ;-)*

Kilka lat temu Phil przeprowadził się do Kolorado, żeby móc częściej jeździć na snowboardzie. Przekonał rodziców, żeby pozwolili mu zamieszkać u wujostwa w chatce u podnóża pasma górskiego Front Range, siedemdziesiąt dwa kilometry na południowy zachód od Denver. Ten element buntu plus to, że był we mnie zakochany, przyciągało mnie do niego. Phil pomógł mi zrozumieć, co właściwie robiła ze mną moja mama, więc można powiedzieć, że uratował mi życie. Poznaliśmy się na czacie dla singli, kiedy miałam szesnaście lat. Niedługo potem przekonałam mamę, żeby założyła internet, który pomoże mi w nauce. Pozwalała mi korzystać z niego tylko czterdzieści pięć minut dziennie, ale gdy kładła się spać, zakradałam się do pokoju, żeby rozmawiać z Philem. Teraz, dwa i pół roku później, pisaliśmy do siebie każdego dnia. Nie rozmawialiśmy przez telefon ani nie korzystaliśmy z wideoczatów – spontaniczne rozmowy nie były moją mocną stroną. Pisząc, miałam

czas przemyśleć i przygotować odpowiedzi. Nie mogłam ryzykować, że go stracę.

Wrzuciwszy do kosza puste opakowanie po zapiekance, poszłam z pudełkiem przekąsek do pokoju. Usiadłam na rozkładanym fotelu, który kupiłam na wyprzedaży garażowej, i wysunęłam podnózek. Położyłam na krakersie kostkę sera cheddar i kawałek indyka i zamarłam. Czyżby bolał mnie brzuch, czy tylko mi się zdawało?

Powiedziałam na głos: „Makaron jest w porządku”.

Sięgnęłam po leżące na stoliku płyty DVD: *Alicję w Krainie Czarów* i *Pinokia*. Jako dziecko mogłam oglądać tylko trzy bajki – *Śpiącą Królowną*, *Kopciuszka* i *Piękną i Bestię*, dlatego starałam się nadrobić stracony czas. Do tej pory zdążyłam obejrzyć połowę kolekcji disneyowskich bajek. Żadna z nich nie pobije mojej ulubionej *Małej syrenki* – oglądałam ją trzydzieści razy. Próbowałam dobić do trzydziestu trzech, na szczęście.

Ale nie filmu było mi trzeba. Oglądałam swoje spodnie khaki i niebieską koszulę. Jutro będę miała na sobie dokładnie ten sam strój, poprawię te same magazyny i przygotuję sklep na przyjście kolejnego palanta, który powie mi, jak bardzo jestem odrażająca.

A jeśli Brandon wróci? Jeśli wpadnę na niego na stacji benzynowej albo w sklepie spożywczym?

Może przesadzałam. Miałam chłopaka, pracę na pełny etat i własne mieszkanie. Byłam u dentysty, który powiedział, że jeśli wyrwiemy kilka zębów, wstawimy implanty i zrobimy mostek, będę miała śliczne białe zęby. Od tamtej pory odkładałam z każdej wypłaty pięćdziesiąt dolarów na swój nowy uśmiech. Robiłam postępy, więc czym była dla mnie opinia jednego przystojniaka? Brandon był dla mnie nikim.

– Nie jesteś odrażająca – powiedziałam do siebie.

Byłam niespokojna i mdliło mnie. Nie uwierzyłam sobie.

Nie byłam gotowa na przeprowadzkę do nowego miejsca. Większość swojego życia spędziłam w tym samym domu, który

opuszczałam tylko po to, żeby pojechać do lekarza, odwiedzić sąsiadów i pójść do szkoły, dopóki mama mnie z niej nie wypisała. I choć wielu mieszkańców Deadwick irytowało mnie, przynajmniej ich znałam. Wiedziałam, że dam radę, dopóki mam nasze brązowe kanapy, sklep spożywczy na rogu i panią Stone – słynącą z ciasteczek owsianych i wiecznego optymizmu – zaledwie pięć minut jazdy samochodem stąd. Przeprowadzka byłaby zbyt radykalna. Ale krótka zmiana otoczenia mogła wyjść mi na dobre.

Zrób listę, szepnęła mama. Oto ludzie, których znałam i którzy nie mieszkali w Deadwick: mama, Alex, która mieszkała w Chicago, i Phil, który był daleko stąd, w Kolorado. Phil i ja nigdy nie planowaliśmy spotkania. Spotkanie twarzą w twarz pozostawało w sferze marzeń. Gdyby mnie zobaczył, mógłby powiedzieć, że jestem odrażająca. Mógłby nawet ze mną zerwać. Mimo to korciło mnie, żeby się z nim zobaczyć.

Pisałam wiadomość przez czterdzieści pięć minut, zanim zdecydowałam się na najbardziej bezpośrednie podejście.

Ja: Co powiesz na to, żebym Cię odwiedziła? ;-)

Ja: Muszę na trochę wyrwać się z domu.

Trzy kropki falowały na ekranie. Pisał i pisał, i pisał. Nerwowo skubałam skórę przy paznokciu. *Nie rób sobie nadziei.*

Phil: To nie jest dobry czas. Przykro mi, Skarbie.

Phil: Może za kilka miesięcy?

Wypuściłam wstrzymywany oddech. Nie śmiałam zapytać, dlaczego to nie jest dobry czas, lecz zamiast tego sporządziłam kolejną listę: „Potencjalne powody, dla których mój chłopak nie chce się ze mną spotkać”. Może miał inną dziewczynę. Może byłam tylko jego kochanką. Może nie mógł umawiać się na randki. Może wcale nie potrafił jeździć na snowboardzie. Może był brzydszy niż na zdjęciu. Może w głębi duszy wiedział, że wcale nie jestem taka ładna, jak myśli, chociaż podałam mu fałszywe imię, żeby nie próbował mnie szukać.

Jeszcze nigdy nie byłam tak bliska swojego pierwszego pocałunku jak wtedy w sklepie z Brandonem. Miałam osiemnaście lat i z magazynu „Seventeen” wiedziałam, że to za dużo, żeby dalej czekać. Postanowiłam popracować nad Philem. Był moją jedyną nadzieją. Poza tym, jeśli byliśmy sobie przeznaczeni, wcześniej czy później musieliśmy się spotkać.

Bębniąc palcami w oparcie fotela, szukałam w głowie innego rozwiązania. Mogłam pojechać do Chicago. Alex, moja najlepsza przyjaciółka i córka pani Stone, od miesiący proponowała, że pokaże mi miasto. Paliwo na trzygodzinną jazdę nie będzie znowu aż tak drogie.

Otworzyłam rozmowę z Alex. „Myślę, że mogłabym Cię odwiedzić!” – napisałam. Stuknęłam palcem małą niebieską strzałkę i zagryzłam wargi.

Przejrzałam naszą rozmowę. Alex nie odpisała na trzy ostatnie wiadomości, które jej wysłałam. Martwiłabym się, gdyby nie to, że codziennie wrzucała coś na swoje profile w mediach społecznościowych, pisząc, jak świetnie bawi się w mieście z przyjaciółmi. Przez ostatnie kilka miesięcy obserwowałam niektóre z tych stron, żeby zobaczyć, jak działają. Nawet zdobyłam się na odwagę i na jednej z nich założyłam własny profil, wciąż jednak nie zamieściłam żadnego posta. Nie mogłam się też zdecydować na zdjęcie profilowe.

Kolejny raz zerknęłam na wypożyczone filmy, ale koniec końców włożyłam do odtwarzacza DVD *Małą syrenkę* – jedyny film, który miałam na własność.

Minęło pół godziny, a Alex wciąż nie odpisywała. Po raz pierwszy Scuttle i Sebastian nie byli w stanie mnie rozśmieszyć. Wyobrażałam sobie słowo „PASKUDA” jako neon unoszący się nad moją głową z dwoma strzałkami skierowanymi prosto na mnie. Słowo wytatuowało się na moim czole, policzkach i w ustach. Podciągnęłam pod brodę polarowy koc w zebkę, który zrobiła dla mnie mama. Słowo nie odpuszczało i uparcie dudniło mi w uszach. Wyobrażałam sobie, że razem

z krwią krąży po całym moim ciele, i pokręciłam głową, żeby przegonić tę nedorzeczną myśl. Powinnam była go zignorować albo dalej kartkować magazyn.

Magazyn. Sięgnęłam po telefon i zaczęłam przeglądać dawne maile. Znalazłam tego od Vinny'ego Kinga, dziennikarza piszącego dla „Chit Chata”, który chciał przeprowadzić ze mną wywiad w zamian za kilkaset dolców. Kolejny raz przebiegłam go wzrokiem.

Media przedstawiły Cię jako słabą, prześladowaną dziewczynkę. Nie uważasz, że najwyższy czas wyprowadzić je z błędu?

Wtedy jeszcze wierzyłam w przeznaczenie. Myślałam, że nic nie dzieje się bez powodu.

Kiedy Vinny King skontaktował się ze mną pierwszy raz, wciąż miałam zgłębnik do karmienia. Niedawno wyprowadziłam się z naszego domu i zamieszkałam z panią Stone. Opieka społeczna przyznała mi terapeutę. Dziennikarze czaili się przed każdym budynkiem, w którym ich zdaniem mogłam się ukrywać. Do dnia, w którym zeznawałam przeciwko mamie, ledwie się trzymałam. Chciałam publicznie oddzielić fakty od kłamstw, lecz wywiad z dawną Rose Gold byłby katastrofą. Już widziałam te szydercze nagłówki, według których córka była równie szalona jak jej matka. I bez tego było źle: „MATKA NIE OKAZUJE SKRUCHY ZA TO, ŻE GŁODZIŁA WŁASNĄ CÓRKĘ”.

Ale to było wtedy.

Teraz byłam stabilna. To znaczy, oczywiście, nic nie było idealne. Może byłam trochę przewrażliwiona na punkcie swojej wagi. Nadal nie mogłam jeść pewnych rzeczy, bo wywoływały mdłości, ale byłam pewna, że problem tkwi w mojej głowie. Nie radziłam sobie w relacjach z rówieśnikami. Wciąż przejmowałam się palantami takimi jak Brandon.

Może wcale nie byłam gotowa rozmawiać o wspomnieniach, które tak skrzętnie dusiłam w sobie przez ostatni rok. Miałam dwa wyjścia: albo dalej będę znosiła złośliwości ze strony ludzi,

którzy nic o mnie nie wiedzieli, albo opowiem swoją wersję historii. Media straciły zainteresowanie mamą i mną, Vinny nie pisał do mnie od miesiący. Może jednak przekonam go, żeby mnie wysłuchał. Pieniądze z wywiadu przeznaczę na leczenie zębów. Albo pojadę za nie do Phila, do Kolorado.

Alex wciąż nie odpisała na moją wiadomość. W telewizji Ariel zgodziła się na utratę głosu.

Wybrałam numer Vinny'ego, zanim zdążyłam zmienić zdanie. Usłyszałam sygnał. Spojrzałam na buty. Sznurówadła miałyam rozwiązane.

Myślała o mnie.

Dla moich rodziców, Rona i Kathy Wrobelów

Stephanie Wrobel

The Recovery of Rose Gold

z angielskiego przełożyła Anna Dobrzańska